

Rozdział 1

Fabryka przeciętności

To pierwszy cios mentalny — nie coaching, tylko zimna prawda o tym, jak system i mentalność robią z ludzi statystów w cudzej grze.

Nie urodziłeś się przeciętny.

To system cię takim zrobił.

Nie celowo — raczej przez bezmyślność, przez tę narodową manierę: żeby było spokojnie, żeby nikt się nie wychylał, żeby było jak u ludzi.

Wychowanie w Polsce to nie lekcja odwagi, tylko lekcja przetrwania w tłumie.

Od dziecka uczą cię, że ważniejsze od robienia czegoś dobrze jest to, żeby nikt się nie przyczepił. Nikt nie mówi: „Zrób inaczej, spróbuj po swojemu”. Mówią: „Nie kombinuj, rób jak inni”.

W szkole uczą cię, że liczy się to, co jest w kluczu odpowiedzi.

Nie to, czy rozumiesz, tylko czy powtórzysz. Dostajesz piątkę nie za myślenie, ale za zgodność.

W pracy to samo.

W życiu — kopia tej samej matrycy.

Znasz to uczucie, gdy masz pomysł i zanim jeszcze go wypowiesz, sam się uciszasz, bo wiesz, co usłyszysz? „Daj spokój”, „Nie wychylaj się”, „To się nie opłaca”.

To właśnie moment, w którym rodzi się przeciętność. Nie w szkołach, nie w korporacjach — tylko w twojej głowie, kiedy zaczynasz wierzyć, że lepiej nie próbować, niż się wygłupić.

Każdy z nas ma w sobie moment, w którym się łamie. Jedni w liceum, inni na pierwszym etapie, jeszcze inni, gdy słyszą od rodziców: „Znajdź sobie stałą pracę, dziecko, bo z pasji się nie żyje”.

I wtedy się poddajesz. Przestajesz ryzykować.

Zamiast żyć, uczysz się „nie psuć”.

W tej chwili, gdy czytasz te słowa, gdzieś w Polsce siedzi tysiące takich jak ty — zdolnych, ambitnych, z pomysłami. Ale już lekko przygaszonych.

Jeszcze mają w sobie resztkę energii, żeby narzekać na szefa, ale za mało odwagi, żeby zrobić coś własnego.

Jeszcze potrafią powiedzieć „to bez sensu”, ale już nie mają w sobie impulsu, żeby to naprawić.

To właśnie jest fabryka przeciętności — nie budynek, nie instytucja, tylko system myślenia, który zabił w tobie chęć sprawczości, zanim zdążyłeś się jej nauczyć.

Tu nie ma krat ani strażników.

Jest tylko ciepła kawa z ekspresu, stabilna pensja i znieczulenie w postaci „nie jest źle”.

Najgorsze więzienia są te, w których więźniowie sami się pilnują.

Znasz ludzi, którzy mają świetne pomysły, ale „nie mają czasu”?

Którzy od lat mówią, że „kiedyś zrobią własny projekt”, „kiedyś założą firmę”, „kiedyś się odezwą do tego klienta”?

Wiesz, co oznacza to „kiedyś”? Nigdy.

„Kiedyś” to ulubione słowo przeciętności.

To sposób, w jaki racjonalizujesz własny strach.

W Polsce przeciętność ma tysiąc twarzy:

- urzędnik, który udaje, że coś załatwia, bo system jest głupi,
- pracownik korporacji, który wypełnia raporty, żeby mieć raport z raportu,
- przedsiębiorca, który całe życie „ogarnia”, ale nie rozwija się od lat,

— influencer, który gada o sukcesie, choć sam nie zarobił nawet na własne biurko.

Każdy z nich ma to samo usprawiedliwienie: taki mamy kraj.

To wygodne kłamstwo. Bo jeśli kraj jest winny, to ty możesz być ofiarą.

A bycie ofiarą to luksus: nie musisz nic zmieniać.

Problem w tym, że przeciętność w Polsce to nie przypadek. To strategia przetrwania, która stała się normą.

Nie dlatego, że ludzie są głupi — tylko dlatego, że są zmęczeni.

Bo zbyt długo żyją w kulturze, gdzie inicjatywa to ryzyko, a błędy to hańba.

U nas nikt ci nie powie „dobrze, że próbowałeś”.

Powiedzą: „A nie mówiłem?”.

Więc uczysz się siedzieć cicho.

Uczysz się nie próbować.

Uczysz się bać własnych ambicji.

A potem budzisz się po dziesięciu latach i nie pamiętasz, jak to było, kiedy chciałeś więcej.

Czasem patrzę na ludzi, którzy mają wszystko, żeby osiągnąć sukces — wygląd, wiedzę, energię — i widzę, jak to w nich powoli gaśnie.

Nie przez porażkę.

Przez otoczenie, które mówi: „Nie wychylaj się, bo cię życie nauczy”.

I rzeczywiście nauczy — tylko nie tego, czego trzeba.

Najgorsze, co możesz usłyszeć w Polsce, to nie „nie dasz rady”.

Najgorsze to „daj spokój”.

Bo w tym jednym zdaniu zawiera się cały mechanizm gaszenia ognia w człowieku.

„Daj spokój” to narodowy kodeks przetrwania.

To sposób, w jaki przeciętność utrzymuje władzę.

Nie przez zakazy, nie przez cenzurę — tylko przez ironię.

Kiedy chcesz coś zmienić, oni się uśmiechają. „No jasne, powodzenia”.

I wracają do kawy.

Nie walczą z tobą, nie kłócą się.

Oni po prostu cię wyśmiewają.

Bo jeśli zaczynasz działać, to ich lenistwo przestaje być normalne.

A tego nie zniosą.

Jeśli czujesz, że to o tobie — dobrze.

To znaczy, że coś jeszcze w tobie żyje.

Bo większość ludzi już nawet nie reaguje.

Czytają takie słowa i wzruszają ramionami: „Tak, świat jest zły”.

I wracają do swojego biurka.

Ale ty nie możesz sobie pozwolić na to, żeby stać się jednym z nich.

Bo jeśli zostaniesz w tej fabryce za długo, to nawet nie zauważysz, kiedy zaczniesz ją kochać.

Kiedy stabilność zamienisz na sens.

Kiedy każdą próbę zmiany nazwiesz „głupotą”.

Tak działa system.

Nie zabija cię od razu.

On cię usypia.

Karmi cię „normalnością” jak morfiną. Daje ci weekendy, Netflixa, promocję w Lidlu.

A ty się cieszysz, że „nie jest źle”.

Bo „nie jest źle” to nowy luksus.

W tej książce nie będę cię przekonywał, że masz „uwierzyć w siebie”.

Masz przestać wierzyć w bzdury, które ci wmówiono.

Nie potrzebujesz więcej motywacji — potrzebujesz zrozumieć, jak bardzo cię zaprogramowano do średniości.

Bo kiedy to zobaczysz, już się nie da „nie widzieć”.

To nie będzie przyjemne.

To nie jest książka, która ma cię pocieszyć.

To książka, która ma cię otrzeźwić.

Masz poczuć dyskomfort, bo to on budzi cię ze snu.

Przeciętność w Polsce nie umiera z głodu.

Ona kwitnie w dobrobycie.

W biurach z owocowymi piątkami. W firmach, gdzie są benefity, ale nie ma sensu.

W życiu, w którym wszystko jest „ok”, **ale nic nie jest twoje.**

I to jest ten moment, w którym musisz sobie zadać pytanie:

Czy naprawdę chcesz, żeby całe twoje życie było „ok”?

Bo jeśli tak — to zamknij tę książkę.

Nie będzie ci się podobała.

Jeśli jednak czujesz, że gdzieś pod tą warstwą zmęczenia coś się jeszcze tli, to gratuluję — właśnie zaczynamy rozbijać ściany tej fabryki.

Kiedy już przyzwyczaisz się do zapachu tej fabryki, nawet nie czujesz, jak wchodzi ci w płuca. Siedzisz w open-space, patrzysz w monitor i wmawiasz sobie, że to tymczasowe, że to „**na chwilę**”. Ale chwilę temu byłeś na stażu, chwilę temu miałeś dwadzieścia dwa lata, **a teraz masz trzydzieści pięć** i znasz już wszystkie rodzaje kawy z automatu.

Czas płynie tylko w weekendy. W tygodniu jest zawieszony jak system operacyjny po aktualizacji.

Polska przeciętność nie jest leniwa. Ona jest zajęta. Cały czas. Ludzie pracują po dziesięć godzin dziennie, ale nie produkują nic, co ma sens.

Piszą raporty, których nikt nie czyta, uczestniczą w spotkaniach, które nie zmieniają niczego. Wypełniają czas, żeby nie musieć myśleć. Bo gdyby pomyśleli, musieliby przyznać, że ich praca nie ma znaczenia.

W korporacjach to się nazywa „kultura współpracy”. W praktyce to strach przed samodzielnością. Lepiej uzgodnić z dziesięcioma osobami coś bezpiecznego, niż zrobić coś ryzykownego i mieć efekt.

Dlatego w tych biurach zawsze jest ciepło, neutralnie i śmiertelnie nudno. Najgorsze, co możesz tam zrobić, to mieć inicjatywę. Inicjatywa pachnie problemem. **A problem to coś, czego nikt nie chce.**

Szkoła nauczyła cię, że błędy to wstyd, nie lekcja. Korporacja doprawiła to sosem z regulaminów i procedur.

I tak powstał człowiek systemowy – zna wszystkie zasady, ale nie potrafi stworzyć nic własnego. Wie, jak się tłumaczyć, ale nie wie, jak dowieźć wynik. Umie pisać maile, ale nie umie rozwiązać problemu.

Ten człowiek nie jest zły. On jest przestraszony. Całe życie słyszał, że ryzyko kończy się kompromitacją. Że kto za dużo chce, ten źle skończy. Więc zamiast żyć, kalkuluje.

Każdy ruch musi być „bezpieczny”.

Tylko że bezpieczeństwo w tym świecie to po prostu powolne tonięcie. Nie zauważasz, że już nie stoisz na powierzchni, tylko dryfujesz z prądem.

Znasz to uczucie, gdy patrzysz na kogoś, kto odniósł sukces, i odruchowo myślisz: „Pewnie miał szczęście”?

To twoje ego broni się przed bólem.

Bo gdybyś przyznał, że on po prostu zrobił coś, czego ty się bałeś, musiałbyś spojrzeć w lustro. A to lustro nie jest miłe. Pokazuje zmęczenie, wymówki i puste obietnice wobec samego siebie.

W tej fabryce każdy zna kogoś, kto „mógłby, ale”.

„Mógłby wyjechać, ale ma kredyt”.

„Mógłby założyć firmę, ale ma dziecko”.

„Mógłby zmienić branżę, ale już za późno”.

Ten refren powtarza się w nieskończoność.

Ludzie budują całe biografie na słowie „ale”. Potem mówią o losie, o polityce, o gospodarce, o szefie. O wszystkim, tylko nie o własnym strachu.

Najgorsze, że ta przeciętność jest społecznie akceptowana.

Jeśli się starasz za bardzo, jesteś dziwny. Jeśli pracujesz nad sobą, to pewnie „masz kryzys”. Jeśli zarabiasz więcej, to na pewno „kombinujesz”. W tym kraju sukces to przestępstwo, a ambicja to choroba.

Więc ludzie ukrywają swoje marzenia jak coś wstydliwego.

Kiedyś rozmawiałem z chłopakiem, który chciał założyć firmę.

Znał branżę, miał pomysł, miał klientów. Powiedział, że nie jest gotów, bo „jeszcze trochę się pouczy”. Minęły trzy lata, dalej się uczy. Zmienił pracę, ma lepsze biurko, większy ekran i zero własnych projektów. Czasem pisze do mnie na LinkedInie, że „w sumie dobrze, że się nie rzucił na głęboką wodę”.

Nie wie, że wciąż stoi w tej samej kałuży.

Tak to działa. Najpierw odkładasz coś na jutro, potem na przyszły rok, a potem na „po czterdziestce”. I nagle orientujesz się, że to już. Nie ma żadnego „po”. Zostajesz w miejscu, które znałeś od zawsze, tylko że teraz to miejsce zna ciebie zbyt dobrze. Wie, jak cię uspokoić, kiedy zaczynasz się buntować.

Fabryka przeciętności ma swoje rytuały: kawa o dziewiątej, plotki o dziesiątej, udawane spotkanie o jedenastej, potem lunch i powrót do monitora.

Nikt nie pyta, po co to wszystko.